

# Moja walka z rakiem

(12)

15 maja 2019, środa

Rano. Znów noc nieprzespana. Tak naprawdę tylko zdrzemnąłem się chwilę. Brzuch nadal mnie boli, choć czuję jakby niewielką poprawę. Jestem na ścisłej diecie. Nic nie mogę jeść ani pić. Nie mam też na nic apetytu. Od rana wznawiają badania: USG, zdjęcia RTG brzucha z przodu i z tyłu. Widać wyraźnie, że przygotowują mnie na operację udrożnienia jelit. Boję się, ale wierzę nadal, że uda mi się tego uniknąć. Dostaję też lewatywę, która wypłukuje z mojego odbytu dwa niewielkie kałowe korki, ale bez większego rezultatu. Jednak czuję, że od czasu do czasu niewielkie jak na razie ilości gazów wydostają się odbytem, a nie tylko gardłem, jak było do tej pory. Późnym popołudniem przychodzi dr P., który pełni tu, tak mi się zdaje, stanowisko zastępcy ordynatora, i mówi mi, że przygotowujemy jestem do operacji, ale jeszcze poczekają, bo mam dobre wyniki ogólne, więc nie widzą jeszcze takiej potrzeby. Przytakuję głową wyrażając aprobatę do takiego stanowiska. „Może organizm pana z tym sobie jednak poradzi?” Wzbudza to moją cichą nadzieję, że jednak nie dojdzie do operacji. Trzymam się tego jak tonący brzytwy. Badaniami jestem już wyraźnie zmęczony, a także szpitalną atmosferą, chodzącym ciągle telewizorem. Co jakiś czas sprawdzam mój brzuch i zdaje się, jak by lekko ból się zmniejszył. Zresztą głoduję już drugi dzień. Parę razy zdarza się, że oddaję gazy odbytem. Wieczorem próbuję zasnąć.

16 maja, czwartek

Budzę się o 5. O Boże, po raz pierwszy od kilku dni przespałem bez przerwy 7 godzin. Macam też mój brzuch. Nic mnie nie boli. A więc stał się cud. Idę do dyżurującej pielęgniarki i mówię jej o tym, że nie czuję żadnych boleści. – To dobrze odpowiada drze miąc. Ale serce rozsądza mi radość. Czyżby udało mi się uciec przed skalpelem? Potem coraz częściej odzywają się gazy w odbycie. Już wiem, że jestem uratowany. Chciałbym kogoś z radości wyściskać, ale nie mam kogo. Dziękuję tylko Bogu za to, że mnie uratował przed operacją. Już wiem, że w poniedziałek będę się mógł wybrać także do Rzeszowa na chemioterapię. Czy ją dostanę, tego nie wiem. Ale dochowam terminu i przyjadę z aktualnymi wynikami ze stalowowolskiego szpitala. Oni zaś podejmą decyzję. To najważniejsze, by nie zerwać terminu i kontynuować leczenie.

Od rana jestem na ścisłej diecie. Po dwóch dniach głodówki zezwolono mi tylko na zjedzenie mlecznej zupy na grysiku. Podobną dostanę po południu, tylko na rosółku, a wieczorem będzie to mleczna z kaszką kukurydzianą. W domu, bym tego nie włożył

do ust, ale tutaj, gdy jestem tak wygłodniały, nawet smakuje. Przed obiadem kąpię się i golę po raz pierwszy od 3 dni.

O w pół do pierwszej czuję potrzebę wyjścia do toalety. I znów chwila radości. Mam za sobą pierwszy oddany po 3 dniach stolec. Idę i melduję o tym siedzącym na dyżurze pielęgniarkom. Chce mi się z radości wołać: victoria! Ale oczywiście tego nie robię. Przecież nie zwariowałem. Duma rozpycha moją scherlałą już pierś. Po raz drugi jestem uratowany i teraz wiem już, że na pewno. Przychodzi za pół godziny na salę doktor P. i melduję mu o tym, co się wydarzyło. Mówię mu też pełen radości: panie doktorze, warto było czekać! – A no warto – spokojnie odpowiada. Czuję się tak, jakbym na nowo odżył życie. Dzwonię z tą wiadomością do Halinki. Ona też się cieszy, bo przecież przeżywa to wszystko podobnie jak ja.

Po południu wizyta Halinki, rozmawiamy o domu i rodzinie. Wczoraj dzwoniła do mojej bratowej z życzeniami. Niestety, chorująca od roku na Alzheimera Zosia nie ma się lepiej, nawet trochę. Można z całą pewnością powiedzieć, że choroba się pogłębiła, choć prowadzana jest codziennie na spotkania terapeutyczne. Potem pożyczam od mojego współmieszkańca, Jacka P., b. wójta Radomyśla nad Sanem, najnowszy numer Tygodnika Powszechnego i zagłębiam się w lekturę. Przeszkadza mi tylko włączony telewizor, który od południa jest na chodzie. Zdaje się, że włącza go za wrzuceniem do automatu pieniędzy, najmłodszy pacjent, liczący 44 lata, pracujący jako majster przy remontach mieszkań. On nawet tego nie ogląda, bo często wychodzi poza salę chorych by pogawędzić lub po kryjomu zapalić papierosa(sic!). Pozostali współmieszkańcy widać to akceptują, bo nikt jednak nie protestuje. W końcu mają rozrywkę za darmo. Panowie są w moim wieku lub trochę, 10–15 lat, młodszy, a więc po sześćdziesiątce. Mnie ta sytuacja cholernie męczy, bo ciągle rozprasza, ale przecież nie będę się kłócił. Jakoś wytrzymam, choć wieczorem mam problemy z zaśnięciem. Od czasu do czasu dyskutujemy z Jackiem P., który jest z wykształcenia historykiem, o współczesnej historii i polityce. Najczęściej mamy poglądy zbieżne lub podobne. P. jest człowiekiem odcytanym, codziennie kupuje sporo gazet. Ale też dożywia się, bo jedzenie szpitalne mu nie wystarcza, choć choruje na cukrzycę i bierze już insulinę.

17 maja, piątek

Rano przychodzi dr Piotrowski i pyta nas delikatnie, czy chcemy dziś wyjść. Potwierdzam, że tak. P. również chce iść do domu. Inni pozostają. Mają poważniejsze schorzenia. Powoli zaczynam się pakować i przebierać. Dzwonię do Halinki, by przyniosła mi kurtkę i buty. Na dworze mży, ale jest ciepło, przyjemnie. Od czasu do czasu słońce przebija się przez powłokę chmur. Około 9.00 doktor przynosi kartę wypisu ze szpitala oraz opis choroby, a także wyniki przeprowadzonych badań. Dziękuję mu za leczenie. Wszyscy jesteśmy w dobrym nastroju. Za półgodziny przychodzi żona z moimi rzeczami, także z parasolem, który jednak okaże się

zbędny. Po 10.00 opuszczam szpital. Po drodze dziękuję także pielęgniarkom.

Wreszcie w domu. Rozglądam się po lodówce i coś zagryzam, przede wszystkim chleb z masłem i kupionym na rynku od prywatnego producenta serem, ale tak by nie przesadzić. Bo wiem już, co to znaczy. Jem też duże jabłko, którego mi najbardziej w szpitalu brakowało.

Rzucam się też do komputera, by wyrzucić z niego reklamowe śmieci. Było tego ponad 60. Odpowiadam także na niektóre maile. Zaglądam również na giełdę i aktualności na WP. Zapisuję też moje notatki ze szpitala do pliku: Moja choroba. Robię przerwę na Wiadomości TVP. A potem jem na obiad supę ogórkową z chlebem z masłem. Bardzo mi to wszystko smakuje. Potem jadę samochodem po kartę parkingową do starostwa, legitymację – do Automobilklubu. I tak ciągnę powoli wszystko aż do wieczora. Kończę pracowy dzień pójściem do czytelnicy czasopism. Spędzam tam na lekturze prawie godzinę. Zabieram przed 19.00 zaległą prasę, przede wszystkim dla Halinki i znów idę do domu, by nadal poświęcić się lekturze.

18 maja, sobota

Wreszcie noc przespana w domu i po skromnym, ale domowym jedzeniu. Myję się, zmieniam bieliznę i świeży wyruszam rano do kościoła, aby podziękować Bogu za to cudowne uzdrowienie. Idę teraz po zakupy, które mam zapisane na kartce. Kiedy już jestem w domu, zabieram się za odkurzacz i pomagam Halince w sprzątaniu. Podczas pracy rozmyślałem o mojej chorobie szpitalu, o wszystkim. Trzeba przecież to wszystko jakoś przetrwać. Chwilę kładę się na wersalce i krótko zasypiam. Budzę się o 11 i ruszam z Halinką samochodem po zakupy do Kautlandu. Obiad już jest przygotowany, więc nie ma na co czekać. O 12 już jesteśmy w domu. Po obiedzie wybieram się do biblioteki, by trochę poczytać i przynieść pozostałą prasę, nieprzeczytaną, do domu, by dokończyć lekturę. Niestety, już w domu zorientowałem się, że nie wziąłem aktualnego numeru Polityki, tylko stary. Trudno. Czytam zatem Rzeczpospolitą, artykuł o Berii, gruzińskim „patriocie i spiskowcu” i zbiera mi się na rzyganie, gdy pomyślę o tym, jak wyglądali sowieccy mężowie stanu, bohaterzy i spiskowcy. Po drzemce wybieram się maluchem na otwartą Noc Muzeów. Oglądam wystawę sztuki secesjonistycznej polskiej i zagranicznej. Pewnie, że skromna, ale przecież jestem na prowincji. Dobre jednak i to. Ta sztuka i eksponaty japońskie wypożyczone ze zbiorów Manggha z Krakowa mogą się jednak podobać. O 19 wracam do domu. Włączam TVN24, media żyją jeszcze przekazem filmowym braci Sekielskich o pedofilii w polskim Kościele.

Miroslaw Osowski

